



PISMO TYGODNIOWE ILUSTROWANE DLA KOBIEȚ.

Prenumerata w Warszawie:

We wszystkich księgarniach i kantorach pism peryodycznych po cenie rocznie rsr. 7 kop. 20; półrocznie rsr. 3 kop. 60; kwartalnie rsr. 1 kop. 80; miesięcznie kop. 60.

Prenumerata w Cesarstwie i Królestwie:

kwartalnie rsr. 2 kop. 50; półrocznie rsr. 5, rocznie rs. 10.

Wydawca **MICHAŁ GLÜCKSBERG**

EKSPEDYCJA GŁÓWNA W KSIĘGARNI WYDAWCY

Ulica Włodzimierska Nr. 4.

W Cesarstwie Austriackiem we Lwowie u Gubrynowicza i Schmidta kwartalnie flor. 3; na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 80.

W Krakowie: u D. E. Friedleina; kwartal. flor. 2 cent. 75 na prowincyi z przesyłką pocztową flor. 3 cent. 50.

W W. Ks. Poznańskiem: u Leitgebera i Spół. kwartal. 5 marek.

Za progiem raj.

CYKL PIOSNEK.

I.

Rajska kołysanka *)

CHÓR Z RAJU.

Śpij Peri, śpij, skrzydelka złóż,
Kolebka twa z wieczystych zórz,
Gwiazdami drży błękitna toń,
Spokojnie ci, otula skroń.
Śnij Peri, śnij, w uspieniu trwaj,
Pieśnią cię swą kołysze raj!

PERI.

Mnie się śnić nie chce! ja nie chcę wrażeń świata,
Ze snu mnie budzi nieznana tęsknota,
Z ziemi głos do mnie tak słodki dolata...
Puście mnie! rajske otwórzcie mi wrota!

CHÓR.

Na ziemi tam—doczesny pył
Zasypię cię, zbraknie ci sił,
Śnij Peri, śnij, w spokoju trwaj,
Tchnieniem cię swem usypia raj.

PERI.

Ja spać nie mogę! Patrzcie—tam—na dole—
Kto to przechodzi? człowiek! cud stworzenia!
Czujna, płomienna myśl na jego czole—
Ja go zatrzymam pociskiem spojrzenia!

CHÓR.

Stój Peri, stój! tyś z duchów duch,
W harmonii sfer zatapiaj słuch,
Niechaj twój wzrok po gwiazdach mknie,
A człowiek cię nie wabi, nie!

PERI.

Patrzcie! on w górę do mnie podniósł oczy,
O, czarodziejskie spojrzenie człowieka!
Na nic już dla mnie raj uroczy,
Puście mnie! człowiek na ziemi mnie czeka!

CHÓR.

Stój Peri, stój! dopóki czas,
Póki masz raj i widzisz nas,
Gdy raz już ten przestąpisz próg—
Nie zwróci cię już żadna z dróg!

PERI.

Raj już nie będzie mi rajem bez niego,
Nudne błękity i przyćmione zorze,
On znika w dali... O, raj, dlaczego
Peri z twych czarów wyrwać się nie może!

CHÓR.

Świetlany byt, oto twój los,
Pokusy niech stopnieje głos,
Nie zaznasz tu, żalu ni burz,
I dosyć masz i gwiazd i róż,

Nad tobą lśni błękitów tło,
Śnij Peri, śnij, w zawoju mgły,
Tu dobrze ci...

PERI.

Ja kocham go!

CHÓR.

Powstrzymaj się, szalona, ty!
Niech raj pieśń utuli cię,
Twą głowę złóż na miękkich mchach,
Przelotny cień rozpiierzchnie się
I lepiej spać będziesz po łzach...

PERI.

Raj już nie rajem dla mnie—ach!

CHÓR.

Cudownie śnić będziesz po łzach!...

II.

Przekleństwo.

Chciałaś,—idź Peri, ale tam, na ziemi
Cierniami każdy twój się zjeży krok,
Wędrować będziesz drogami błędnymi,
Próżno do celu dążyć będzie wzrok.

W raj urodzone, ty, dziecię światłości,
Doczesną czarę w mękach będziesz pić,
Wplątanej w ziemską przedzę znikomości—
Już ci się chwycić nie da rajska nić.

*) Do niniejszej „Kołysanki“ dorobioną została muzyka przez prof. J. Czulskiego. Kantata jest ułożoną na chór żeński i solo sopranowe.

Przeczystą miłość duchów pogardzoną
Pomści na tobie zmienny ziemi syn,
Za miłość—smutkiem napełni ci łono,
Własnych na ciebie zrzuci ciężar win.

Wszystkie ci róże wydrze po kolei,
Szyderstwem spłoszy z ust tych słodki śmiech,
Pieśń twą zagłuszy i wśród pustej kniei
Zostawi samą w grozie dzikich ech.

Wygnaną będziesz na ziemskim padole,
Szybko złudzenia rozpierzchnie się czar,
Cierpiąc okropnie, na pobladłem czole
Nieść będziesz smutek w świata błachy gwar.

Ziemskie wrażenia staną się torturą,
Zmysły twe z błędu, pchać cię będą w błąd,
Walkę ze sobą wieść będziesz ponurą,
Za winę w własnej piersi niosąc sąd.

Wypieszczonemu światła dziecku, tobie,
Żadna już rozkosz marna nie da sił,
I gdzieś w samotnym, wcześniej legniesz grobie,
Po twoich śladach przejdzie kurz i pył.

Idź, mieczem z ognia raj zamykam tobie,
Peri, nieszczęsna! jeszcze namysł się!
Idziesz? straszliwy sąd gotujesz sobie!

PERI.

Miłość—nie zemsta będzie sądzić mnie!

Szczęсна.

PAMIĘTNIKI

Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej.

(Dalszy ciąg)

VII.

Odwiedziny u chorego.

— Cóż to za turkot słyhać? — zapytał obudzony ze snu sędzia ocieżalonego lokaja Szymona, który, jako najstarszy sługa, nieodstępny był w słabości pana.

Wyszedł, wrócił natychmiast i szybko przyciszonym wyrzekł głosem:

— Jaśnie wielmożna pani sędzina przyjechała; z nią jej córka, a pańska synowa i dwie *contessy*“

— Wyjdz, prosz, żeby się rozgościły; każ wyprządź konie, zawołaj kucharza, a wracaj natychmiast ubrać mnie; niech wszystko będzie przygotowane, — dodał—do przyjęcia gości, zapowiedz Andrzejowi,

Słyhać szmer, przetwieranie się, chodzenie i rozmowy francuzkie przez drzwi do pokoju pierwszego prowadzące. Powraca Szymon po chwili bocznymi drzwiczkami, prowadząc z sobą kucharza i niosąc zarazem na ramieniu szlafrok z materiału jedwabnego błękitną kitajką podbity, świeże pantofle z żółtego safianu, do przewiązania rańtuch z ciemnej materyi w poprzeczne białe pasy. A w chwili gdy pan już kucharzowi dysponuje wyborań wieczerzę, lokaj go ubiera, nakoniec podaje jarmużkę z zielonego aksamitu, świeżą chustkę do kieszeni fularową, czerwoną w żółte kwiaty i szczerzo-złotą tabakierę.

Zasiadł chory w krześle i prędko uporządkował Szymon łóżko, lekarstwa i karafinkę wody ustawił na tacy, wziął węgli z kominka, włożył w fajerkę, posypał bursztynem; dymek lekki, błękitny rozległ się po pokoju, z miłą ambry wo-

nią. Szymon otworzył szeroko drzwi do pierwszego pokoju.

Na ten znak wchodzą goście do sypialni chorego; przywitanie uprzejme łączyło się z ubolewaniem nad stanem zdrowia gospodarza; dopytywano o domniemane przyczyny, postępowanie i rozmaite koleje, jakimi objawiała się choroba, o lekarzy i lekarstwa używane, dogodności i pielęgnowanie, a nakoniec postanowiono, że synowa pozostanie, aby doglądać w słabości i rozweselać umysł kochanego papki.

Ubiór dam odwiedzających nie był świetny, ale łączył gust ze staranną wytwornością. Na sukniach ciemnych kitajkowych nosiły wierzchnie watowe, okładane lekkimi futerkami, do kolan sięgające ubiory „przyjaciółkami“ zwane, otaczały figurę gładko, bez żadnego fałdowania, odznaczając dokładnie wszelkie ruchy i kształty ciała. Wierzchnie to ubranie matki było z atłasu rozmarynowego okładane sobolami, na głowie zawój grecki z muślinu. Synowej „przyjaciółka“ była błękitna z gronostajami, a panny obrały kolor różowy z okładaniem puszkę łabędziego. Młode damy pozrzucawszy kaszkieciki podróżne, nosiły włosy *à la Titus*, krótko obcięte, lekko nad czołem fryzowane.

Wszystko w domu sędziego oznaczało zamożność, dostatek, ale nie wytworność. Słudzy strojni w polskich byli ubiorach, nazwanych „kurtkami“, równie jaki stangreci; wszystko czyste, obcisłe i nie zużyte; strzelcy w wołoszkach zielonych, mieli pasy skórzane, a na sprzączce mosiężnej jelenia ulanego z białego kruszcu; każdy był czerstwy i chętny w usługach.

Wniesiono tace z dobrem winem węgierskim w dwóch gatunkach i słodkie dla dam i dębak wytrawny, ale ostatnie zostało nietknięte; panu sędziemu w chorobie niewolno było pić za zdrowie gości. Przecudne owoce z własnego ogrodu, gruszki zimowe, jabłka, orzechy włoskie, tureckie i pączki ciepłe, jak to dotąd bywa w czasie zapustu; później dano kawę wyborań i stopy składanych skibek prześliznionego chleba ze świeżutkiem masłem.

Kiedy się goście zasilili, gospodarz zażył lekarstwa i napił się tyzanny. Słudzy, nakładwszy drzewa na kominek, posprzątało i wyszli. Związała się wówczas rozmowa pomiędzy starszemi poważna i nudna. Młode osoby, spragnione poufnego wylania najtajemniejszych myśli i uczuć, opowiadania w ścisłym kole rodzinnem zdarzeń dotyczących własne ich osoby, nieznanie wysunęły się z pokoju sędziego, zabawiły w pokoju przyległym minut kilka, przeniosły się nareszcie do przeznaczzonego im gościnnego sałoniczka.

Kiedy sędzia i przyjaciółka jego widzieli się zostawionemi sam na sam, natenczas, porzuciwszy przymus obojętności, weszli na ton poufały.

— A więc, Marcyniu! Wiek i osłabienie wskazały kres miłym związkom, jakie nas łączyły. Ty jeszcze pełna życia i wdzięku, masz długo panować nad sercami, — co mówię, — nad sercem, z którego zechcesz wybór uczynić, a ja się chyłę do grobu!

Stanęły łzy w oczach pani Wysocińskiej; przechyliwszy z ujmującym wdziękiem głowę ku choremu, podała mu dłoń pulchną i różową w milczeniu, bo uczucie przemogło w tej chwili nad wymową... Ucałował rączkę sędzia i tak dalej mówił:

— Zesłanniczką niebios byłaś mi przez te lata smutnego osamotnienia... wdowieństwa bezbarwnego, któremu ani miłe wspomnienia przeszłości, ani tkliwy żal po zgasłej nie towarzyszył małżonce. Postępki jej zabiły w sercu mojem wszelkie uczucia familijne, — małżeństwa lękałem się. Znalazłem w sercu twojem ufność i stałe przywiązanie. Nie zawiedliś mi się na sobie; udzielił miś piękny, pozostawił w mem sercu niezatartą wdzięczność. Zazdrość daleką jest odemnie. Używaj pomyślności, jaką ci los przeznacza, ja umrę spokojny. Połączyliśmy dzieci nasze; czuwać nad ich dobrem, jest naszym zadaniem. Są to młodzieńcze latorośle, które burzami namiętności latwo rozwiane być mogą. Baczny ogrodnik nagina wątłe rośliny, miękkim wężem nieznanie je spaja. Tym ogrodnikiem dotąd je-

stem ja. Jednoczyć będzie to stadło później owoc tego związku—dzieci; ale gdyby natura nie dosła silnie przemawiała do serca niedojrzałych rodziców, natenczas, Marcyniu, twojem jest zadaniem zastąpić mnie na tym świecie. Dla tego obok moralnego wpływu, jaki matka wywiera zwykle na umysły dzieci, potrzeba jeszcze zostawić w ręku swoim bodziec materyalny, a tym jest władza, jaką nadaje możność wspierania dobrami ziemskimi. Więc posłuchaj mnie bez wzruszenia, uważnie, jak przystoi w chwili tak uroczystej... Przewiduję, że rozporządziłaś ręką swoją i nie ganię takiego zamiaru... Mężczyzna, o którym wspominałaś mi, nie pierwsza, jest znany z pięknej strony... On równie ma dzieci; oboje posiadacie już istniejące majątki i oddzielne interesa... Jako kobieta, pod tym względem słabsza jesteś stroną, tem silniejszą stawisz trzeba zapórę, chociażby nawet przechylić szalę na swoją stronę. Kasia już wprawdzie wyposażona, pozostaje przeciw gotówka, i byłaby przydatną na posagi dla drugich córek. Ale tam, gdzie dwie wole rządzą, mogłaby ona właśnie stać się jabłkiem niezgody, rzuconem dla zakłócenia spokoju domowego; zawsze pieniądź jest rzeczą ruchomą i łatwą do puszczenia w obieg. Dlatego upatrzyć należy i kupić nieruchomość.

Sędzina ochłoneła z wszelkich tkliwych uczuć, w miarę jak sędzia wprowadził tekst interesów majątkowych; zarzuty przeciw domysłom, tłumaczenie siebie, jakie zamierzała, skonały na ustach; myśl zwróciła jedynie do rozporządzenia sumy gotową.

— Znam, — odrzekła — piękną majątność z pałacem, ogrodem, zakładami podług najnowszego smaku: architekt Graf z Warszawy wszystko urządzał i dekorował, ale moje zasoby nie wystarczają na to kupno.

— Masz dobra w dożywocie; wypuść wszystko w zastawy. Za dzierżawę z przypożyczką zabezpiecz kapitały na nowem kupnie. Tam zamieszkać, a poszedłszy za męża, ścieśnisz dochody; co braknie na utrzymanie, stanie się ciężarem męża; miałoby to zupełnie odwrotny stosunek, gdyby dochody żony, a tem bardziej zażytki gotowe zostały do jego dyspozycji.

W pierwszej chwili sędzina nie mogła się pogodzić w wewnętrznem przekonaniu z niesłusznoscą, jakaby takim czynem wyrządziła przysługę mężowi i dzieciom jego, ale zamilczała, raz że nie śmiała przyznawać wręcz zamiaru, jakiego sędzia się domyślał, a potem nie chciała się też sprzeciwić jego radom, na których wsparła, tak gładko przesunęła się po trudnym zawadzie wdowy, prowadzącej zarząd dóbr i majątku. Potrosze, jak z wszelkimi planami jego, równie i z tym oswoiła się, bo tchnął życzliwością przyjacielską, chociaż nie bezwzględną słusznoscą, na jakiej osoba sądownicza opierać się winna. Wmawiała w siebie, że w ciągu pożywania następcy się sposobność wynagrodzenia mężowi uszczerbków, gdyby się wykazał miały, a miło, pięknie i korzystnie nabyć dobra z wszystkimi dogodnościami, że ją nadto blask i okazałość otoczą; przekona się świat, że chociaż wdowa, widocznie powiększyła majątek.

IX.

Majątność Nabytowo.

Szeroką ulicą topolową, przeszło 2000 kroków wzdłuż przecinającą ogród pałacowy, sędzina przechadzała się z szambelanem. Pierwszy raz odwiedził ją na wsi, kiedy już mieszkała w dobrach, kupionych od kasztelana Górnickiego.

Chodząc, kolejno zwiedzali cieplarnie, kaplicę zewnątrz wiejskiej prostoty, wewnątrz sposobem groty otwierającej widok na Jerozolimę i Golgotę, z wyborańnym gustem dekorowaną; dalej altanę chińską, wysmukłą i ozdobną na górce, wewnątrz której umieszczona sztuczna grotta, przy świetle lamp raziła błyskiem ścian kryształowych.

Przebywszy zakręty wijących cienistych chodników, doszli do odwiecznego dębu. Pod rozłożystemi jego konary stała pustelnia; wchód do

niej z chrustu z ręcznie był pleciony; z jednej składała się izdebki, gołe jej białe ściany zawieszane były u góry girlandami sztucznych liści dębowych; u każdego ich podpięcia zawieszona sylweta świadczyła, że są zbiorem tkliwych pamiątek pustelnika. Nad stolikiem wysłanym mchem, obitym korą osową, wycinaną w rozmaite wzory, w najwydatniejszym miejscu, otoczona wieńcem róż, była sylweta niezaprzeczone z gościem mająca podobieństwo.

Spojrzeni na siebie mile, a szambelan ogniste wycisnął pocałowanie na ustach towarzyski. Nie wzbraniała, ale wyszli natychmiast w milczeniu.... jak długo błądzili po gajkach angielskiego ogrodu, nie wiem, ale doszli do tarasu, na którego wzniesieniu stał pałac, otoczony kwiatownią w guscie parterów francuzkich; symetrycznie wysadzany był strzyżonym bukszpanem w regularne oddziały tworzące serca, koła i trójkąty, gwiazdy i krzyże maltańskie. Środek zajmował ogromny kompas, na którym wszystkie godziny dnia zieleniały rzymskimi znaczone lizbami, z teje samej wzrastająco rośliny. A któżby wyliczył nazwy, kolory, kształty i woń tych rozlicznych kwiatów, jakie bujną vegetacją okrywały ten przybytek Flory. Okalały go szpalery grabowe, cięte i gięte w półaltanie; z piramidy świerków, ściany rozpinanych drzewek karłowatych, ozdobionych liściem i owocem, jaśniejącym rozlicznymi barwy.

Weszli do pałacu. Po krótkim spoczynku, obok swojej lubej przewodniczki, rozpatrzył się szambelan we wszystkich jego częściach. Stołową sałę poprzedzał obszerny przedpokój, prowadzący innym wchodem do bawialnych pokojów. Jadalnia o pięciu oknach na froncie, malowana była w kolosalne wazony z olbrzymimi kwiaty, które razem od rampery aż do sufitu sięgały. Wstępny pokój majowego koloru, na ścianach wymalowane miał krajozwydy, pejzażami z francuzka zwane; zastawiony był meblami, biało lakierowanymi, powleczonej materią wełnianą w guscie pańskim. Na prawo zamknięty gabinet, zachowany był zwykle na sam koniec przeglądu domowego; otwierany był tylko przy niezwykłej uroczystości.

W lewo sala bawialna, dziś nazwana salonem. Ściany jej gipsowane, pociągnięte jasno-błękitnym kolorem, okryte były sztukateriami z białego gipsu, podzielone na gzymsy i arkady. W każdym takowym łuku, na podstawie w mur utwierdzonej stało popiersie, któregoś z mędrców starożytności; płaskorzeźby wyobrażały figury mitologiczne i znane momenta z historii greckiej. Dwa piece, umieszczone w bokach owalnej sali, naśladowały podstawy pomników, na których szczycie panowały posągi Westy z ogniem świętym na prawo, a na lewo Wulkan z cyklopami, kujący pioruny Jowiszowi. Zegary stolowe ozdobione były postaciami czasu i przeznaczenia, czyli wówczas Fatum i Saturna. Śród całej tej greczyzny sofki były ottomańskie, składające się z nateracy, błękitną obciążniętych materią bławatną. Lustra wysokie jak ściany, a skrzydło ustawione w salonie, spoczywało na pedałach w formie lutni Apollina, który ponad klawiaturą galopował w faetonie po przestrzeni niebios, uniesiony dzielnymi siwoszami, stąpającymi jakby na drodze makademizowanej. Lekkie taborety z wygiętymi poręczami oraz stoliki okrągłe przed sofami ustawione uzupełniały umeblowanie.

Weszły comtessy; przywitawszy się, zasiadły u skrzydła i zagrały sonatę Haydena na cztery ręce. Guwernantka robiła pończoszkę. Szambelan wyprzedzony przez gospodynię, przeszedł do sypialni. Była w niej alkowa z wspaniałym łożem wdowieńskim. Kotara z karmazynowego adamaszku, równie jak ściany pokoju, ozdobiona była złotem lub złoceniem na drzewie. Pod firankami spuszczały się rolety zielone, nie dopuszczające tej części światła dziennego, które przebiega szczelinami okiennic. Sofy, berżerki, fotele, komody, szyfionierki i biurko, na którym umieszczony był posąg milczenia z kluczem u boku i palcem na ustach, podnóżki i stoliczki przenośne, ekrany, aksaniki, lampy i zegarki w ponostamentach, koszyki wiszące, stojące do roz-

maitych użytków, a nadewszystko woń lewandy pozaszywanej w poduszkach, rozścielanych na sofach dla wygodniejszego oparcia, zapępiała ten przybytek, poświęcony wygodzie i spoczynkowi.

Ztąd przeszli do gabinetu i gotowalni. Ściany z błękitnego atlasu, oprawne były w gzemysnycerskiej roboty, białe lakierowane. Lustro stojące, wysokie od ziemi do sufitu, odpowiadało naprzeciwko stojącej srebrnej gotowalni, przedstawiając ze wszystkich stron figurę, ubierającą się osoby. Dwa taborety miękkie i zgrabne, podnóżek i przepyszna umywalnia z czystego srebra berlińskiej roboty, komody z pokładami z białego marmuru; szafki lekkiego kształtu do ustawienia strojów damskich, szkatuleczki rozmaitych rozmiarów, kształtów i kolorów, pudełeczka świeże, zgrabne, porzostawiane na większych meblach, równie jak i wazony, napełnione niepospolitemi kwiatami, stanowiły umeblowanie i ozdobę tego pokoju. Tam zawieszane były w świetnych ramach obrazy miłosne i nieosłoniętej postaci; tam ryciny o Wertherze, Armida z Rinaldem, Orfeusz i Eurydyka, Wenus i Kupid i obrazy z przemian Owidjusza, których widoku nikt się nie wstydził.

Widok prześliczny z okien tego gabinetu wychodził na część ogrodu, w której wystawioną była świeża łaźienka; pomiędzy nią a pałacem spadzisty trawnik zielony rozpościerał się w lekkiej pochyłości ku stawowi i kanałom przecinającym ogród i oddzielającym wieś od dziedzińca. Wszędzie topole piramidalne wznosiły pyszne wierzchołki, a były one jeszcze nowością; dla tego już z daleka odznaczały gust właściciela.

Przeszli żywo resztę pokojów: paniński, wybity atlasem w ogromne gałęzie i kwiaty żywych kolorów na tle białem; kancelarya oklejona obiciem malowanym i złocenem; pokój wstępny do załatwiania interesów i rozporządzeń. Ztąd kryte w ścianie drzwi do tajemnego przejścia, prowadzącego do alkowy pokoju karmazynowego, w którym równie były niewidne drzwi.

Powróciwszy do salonu, zastali już otworem gabinet osobliwości. Ściany jego, okryte paliowym atlasem, naklejane były gęsto nawstrzyganymi rycinami od sufitu aż do lampery—było to dziełem cierplivej siedmioletniej pracy poprzedniej właścicielki kasztelanowej Górnickiej, której ciągle dwie rezydentki pomagały. Napełnione było to schronienie najkosztowniejszemi i tylko do ozdoby służącymi porcelanami, kryształami, marmurami, wazami, sztucznymi zabawkami i niespodziankami.

W całym pałacu posadzki były froterowane, pajakikryształowe i wydawały się jak bukiety wodotrysków, spadających w milionowych kroplach w blasku południowego słońca.

— Któż była ta kasztelanowa, tak pełna gustu, pracowita i cierpliwa?

— Usiądźmy, — odrzekła sędzina, — a opowiem ci, panie, jej smutne przygody.

(Dalszy ciąg nastąpi).

RUCH MUZYCZNY.

Jesteśmy na początku sezonu nowego, który przynosi przy swem narodzeniu poraz pierwszy u nas wystawioną operę Puccini'ego, p. t. „Cyganerya.“ Dzieło to ujrzało światło kinkietów w Teatrze Wielkim w d. 1 Października; salę przepęlniła zwykła publiczność premierowa, która nową operę przyjęła życzliwie. Przypatrzmy się bliżej tej „sztuce“, przedstawionej z wyjątkową starannością. Zanim jednak przystąpimy do muzycznej strony „Cyganeryi“, roztrząśniemy treść opery, co jest nieodzownem w obec jej charakteru artystycznego.

Tytuł opery wskazuje źródło, z kąd kompozytor i jego libreciści Giacosa i Illica zaczerpnęli

wątku. „Cyganerya“ wyszła z pod pióra Henryka Murgera jeszcze w 1847 roku, jako powieść, która znalazła powodzenie wśród szerokiej kół czytelników; powodzenie to skłoniło autora, iż do spółki z Teodorem Banvillem przerobił powieść na utwór sceniczny, odegrany w Odeonie. Na scenie „Cyganerya“ chętnych znalazła widzów, którzy ją gorąco oklaskiwali; stało się również, iż utwór na scenie komedyi Francuzkiej zjednał sobie niemały rozgłos. W ostatnich czasach dwóch kompozytorów zapragnęło zużytkować dzieło Murgera: Leoncavallo i Puccini, według dwóch odrębnych libret, napisali do „Cyganeryi“ muzykę; z tych oper Warszawa usłyszała właśnie „Cyganeryę“ Puccini'ego.

Nie będziemy wdawali się w ocenę wartości literackiej utworu Murgera, gdyż to nas tym razem jedynie pośrednio interesuje. Treść zaś libretta da się opowiedzieć w krótkich słowach:

Grupę „cyganeryi“ tworzą koledzy: Rudolf poeta, Marceli malarz, Schounard muzyk i Colline filozof. Z tą czwórka hultajską zapoznajemy się w ich mieszkaniu na strychu w *Quartier Latin*. Czwórka ta niby pracuje, w gruncie jednak rzeczy oddaje się próżniactwu i rozpasaniam, które wypełniają im życie z dnia na dzień, bez żadnej o jutru myśli, ani żadnej o nie troski.

Przez okno z poddasza widać kominy sąsiednich domów; izba jest uboga i weale nie chędogo, zimno przytem jest tak dokuczliwe, że Marceli, malujący „Przejście przez morze Czerwone“, pędzla nie jest w stanie utrzymać wskostniałych palcach; na ratunek mu śpieszy kolega Rudolf, który świeżo skończony dramat rzuca w piec, aby się w pokoju trochę ciepłej zrobiło. Nadchodzą towarzysze pozostali: Schounard i Colline. Muzyk, za lekcye muzyki od jakiegoś Anglika dostał pieniędzy, więc przyniósł jedzenia, cygar i drzewa. To wystarcza, aby czwórka wpadła w jak najlepszy humor, który im jeszcze bardziej podnieca wejście właściciela lokalu, z żądaniem zapłacenia komornego. Oczywiście, jegomość ten musi obejść się smakiem — weseli zaś lokatorowie, zabrawszy kwit, wyrzucają właściciela za drzwi.

W wybornem usposobieniu trzej koledzy udają się do kawiarni Momusa; za chwilę przyjdzie do nich Rudolf, tylko skończy artykuł bardzo pilny. Ledwo się jednak zabrał do roboty, gdy daje się słyszeć pukanie do drzwi; wchodzi szwaczka Mimi, chcąc zapalić świecę, bo jej zgasała. Rudolf nie zapalił jednej, ale zgasił również drugą — i w ciemnościach, jakie zapanowały, czuła para wyznaje miłość wzajemną.

Zadzierzga się ten stosunek nagle, z nienacka — ot, jak często w tych sferach bywa w życiu. Kochankowie w pięć minut później siedzą już przed kawiarnią Momusa w towarzystwie pozostałych „cyganów.“ Opodał siedzi inna para: Musetta z podtatusiałym wielbicielem. Cyniczna dziewczyna w brutalny sposób zaczepia Marcelego, z którym się najpierw kłóci, potem jednak rzuca musię na szyję, kuzdumieniu ogłupiałego wielbiciela. Kiedy zaś capstrzyk przechodzi, wszyscy biegną w tamtą stronę, a wielbiciel Musetty musi w rezultacie zapłacić cały rachunek.

W takim życiu naturalnie ani o nauce (Collie), ani o sztuce (Chaunard i Marceli), ani o poezji (Rudolf) — nie może być mowy. To też w akcie trzecim widzimy, jak obraz Marcelego: „Przejście przez morze Czerwone“ zmieniony został na szyld, wyobrażający „Port marsylski.“ Jak obraz, tak i dusze „cyganów“ niszczy się w tym szalonym pędzie i gorączce ustawicznej nerwów.

Rudolf przywiązał się nawet do tej Mimi niepoprawnej, która choć go może kocha w głębi, lecz bieg jej życia pozostaje bez zmiany. Gorączka tego istnienia strawiła zdrowie Mimi; suchoty niszczyły organizm i podkopały go zupełnie. Jeszcze kilka wysiłków, jeszcze kilka pieśczęt, a wszystko się kończy: Mimi umiera na poddaszu, w obec dotkniętych do żywego tą katastrofą „cyganów.“

Musetta, silniejsza ciałem, zdołała ocalić się od śmierci, porzuciła nawet w końcu życie go-

rażkowe, obronną ręką wyszedłszy z tych zapasów: niemniej sympatya widza, jeżeli w ogóle sympatya tu być może, jest po stronie nieszczęśliwej Mimi, która na swoje usprawiedliwienie posiada niewątpliwe względem Rudolfa serdeczniejsze przywiązanie; to ją do pewnego stopnia tłumaczy i przemawia za tem sercem rozstrojonym i zgubionem, ale czasami szczerze drgającym.

Czy ta treść, w głównych zarysach powyżej opowiedziana, odpowiada muzyce, czy może wystarczyć do stworzenia na jej tle dramatu muzycznego?

Z pewnością—nie; ale dzisiejszy kompozytor, który się musi liczyć z duchem czasu, z wymaganiami zblazowanej publiczności z końca wieku, trudny ma wybór, jeżeli chce, aby go Europa słuchała. Tę publiczność, lubiącą się bawić *coûte que coûte*, trzeba umieć wziąć za jakąkolwiek cenę. Oglądać się zbyt szczerze na to, czy wolno użyć w sztuce takich lub innych efektów—niemożna, gdyż grozi niepopularność, a tu właśnie o popularność, o jak najszerszy rozgłos i powodzenie chodzi. Puccini jest muzykiem bardzo zdolnym, kompozytorem prawdziwie utalentowanym, ale ulega prądowi chwili i pisze na temat, przez publiczność chętnie widziany.

Jakób Puccini pochodzi z bardzo muzycznej rodziny; od kilku pokoleń w świecie artystycznym znane jest imię Puccinich. Ojciec Jakóba był kompozytorem i filozofem, zmarł w 1864 roku. Najmłodszy syn Jakób Puccini kształcił się w konserwatorium medyolańskim, korzystając ze stypendyum królowej Małgorzaty. Uczęszczał na wykłady Ponchiello, autora „Giocondy“ i ukończył konserwatorium świątynie w r. 1880. Napisał wtedy symfonię-kapryś, która mu sławę zapewniła. Z początku młody kompozytor walczył z niedostatkiem, ale nie ustawał w pracy. Zabrał się też zaraz do tworzenia opery „Willidy.“ Dzięki staraniom Ponchiello i Boita, dzieło to wystawione zostało w teatrze „Dal Verme“ w Medyolanie 1884 r. Była to epoka w życiu Pucciniego, który już od tej chwili szedł szybko naprzód. W r. 1889 wystawił w La Scali operę „Edgar,“ do której natchnął Pucciniego Musset. W r. 1893 w Turynie wystawił swoje arcydzieło: „Manon Lescaut,“ aż w 1895 z pod pióra jego wyszła „Cyganerya.“ Operę również po raz pierwszy usłyszano w Turynie w Lutym 1896 r. Dzieło to w krótkim czasie obiegło wszystkie większe sceny europejskie—aż po dwóch latach doszło do Warszawy. Obecnie Puccini pisze nową operę p. t. „Toska“ do słów Wiktoryna Sardou, który sam z utworu owego zrobił libretto. Świat muzyczny oczekuje tej nowej opery z rzeczywistym zaciekawieniem.

Tymczasem usłyszeliśmy w Warszawie „Cyganeryę.“ Istotnie, jest coś nowego w tej muzyce, nie liczącej się z przyjętymi dotąd formami, jest jakaś dążność do celów nowych za pomocą świeżych środków. To i owo jeszcze razi w tem dążeniu naprzód. Przedewszystkiem znać tu wpływ własnej opery Pucciniego „Manon Lescaut,“ z której się powtarzają całe nieraz frazy. Są tu również dziwactwa muzyczne, np. Puccini lubuje się, nie wiedzieć dla czego, w pochodach kwint, na co poświęca całe często strony. Jest to dla muzycznego człowieka rzeczą rażącą i wysoce nieestetyczną; wszelako kompozytor, jakby wiedząc o tem, maskuje te dziwactwa wybornym tłem orkiestrowym, które przed oczami przeciętnego słuchacza zasłania niewłaściwości harmoniczne. Dzieła brak polotu i głębi, pomimo dość znacznej ilości ustępów melodyjnych. Opera, choć się miejscami podoba, przechodzi spokojnie i słuchacza nie porywa. Ta charakterystyka muzyki wypływa ztąd, że libretto „Cyganeryi“ nie nadawało się do opery poważnej; opera ta jest też właściwie operetką, przynajmniej w dwóch pierwszych aktach—i gdyby kompozytor był poszedł drogą konsekwentnego rozwoju muzycznego, byłby do końca traktował „Cyganeryę“ z wesołego punktu widzenia; w ten sposób, nie byłibyśmy wprawdzie mieli melodramatu, lecz sam utwór byłby

szczerzym i wrażenie byłoby artystyczniejsze.

Zanadto jednak Puccini jest wytrawnym muzykiem, żeby nawet w tych warunkach nie uczynić dzieła swego w wysokim stopniu zajmującym. Dla tego też „Cyganerya“ znalazła wszędzie takie gorące przyjęcie, dla tego i u nas tak ją życzliwie oklaskiwano.

Dużą zasługę ma w tej mierze dyrekcya teatrów warszawskich, nie żalowała bowiem nakładu, pragnąc, aby dzieło przedstawiło się z jak najlepszej strony. Ogromnie się również do powodzenia „Cyganeryi“ przyczyniła reżyserya. P. Chodakowski dowiódł, że jest nie tylko artystą—śpiewakiem, ale i kierownikiem-artystą. W „Cyganeryi“ znać od początku do końca tę umiejętną dłoń, która tu wszystkim kierowała skutecznie. To, że wystawa była wspaniała, że dekoracye były świetne, to zasługa dyrekcji, no i wykonawców jej poleceń; ale to, że na scenie wszystko żyło, że tłum np. w drugim akcie wystąpił do złudzenia prawdziwie, to już zasługa i praca i umiejętność reżyserji. Nie wahamy się też p. Chodakowskiemu tego sukcesu szczerze powinszować: taki reżyser może być dla innych wzorem do naśladowania.

Opera pod względem opracowania muzycznego godna jest również najwyższego uznania. P. Podesti, nowy dyrektor opery, wyszedł z próbnego debiutu zwycięsko: kapelmistrzem jest energicznym i potrafi panować zarówno nad orkiestrą, jak i nad solistami, oraz chórem. Wszystkie też czynniki przedstawienia harmonijnie się z sobą zestroiły: orkiestra doskonale uwydatniła tło instrumentacyjne, chóry subtelnie zdolały wycieniować zbiorowe numery—a soliści?..

Partyę Rudolfa odśpiewał świeżo zaangażowany tenor p. Garbini, posiadający dużo uczucia i głos ładnie brzmiący, wytrzymały, zwłaszcza w górnym rejestrze; medyum ma artysta trochę matowe, przecież całą rolę śpiewał bardzo dobrze.

Postać Mimi odtworzyła utalentowana sopranistka włoska p. Stehle; artystka z wielkim temperamentem wykonała rolę, wybornie zestrójając sceniczny wizerunek bohaterki z jej wokalem zadaniem.

P. Chodakowski, jeden z bohaterów wieczoru, śpiewał z humorem i werwą, a wyglądał tak oryginalnie, że go poznać było trudno. Bardzo korzystnie przedstawili się pp. Grąbczewski i Sillich.

Słowo pochwały zapisujemy wreszcie dla p. Korolewiczówny, wykonawczyni roli Mussety. Artystka w niewielkiej, choć wdzięcznej partyi, czarowała, jak zwykle, bogactwem swego materiału głosowego.

Bardzo przychylnie wieści poprzedziły z za granicy występ u nas p. Kruszelnickiej, która na scenie teatru Wielkiego śpiewała po raz pierwszy „Aidę“ Verdi'ego. Jest to sopran dramatyczny rozległej skali, niepospolitej mocy i sympatycznego brzmienia. Cała postać Aidy była przez utalentowaną śpiewaczkę odtworzona nader zajmująco. Mamy tu do czynienia ze śpiewaczką pierwszorzędnego talentu wokalnego, który nadto na scenie, dzięki dobrej grze aktorskiej, korzystnie się uwydatnia. P. Kruszelnicka niewątpliwie w dalszych występach zdoła jeszcze wszechstronniej zalety swego śpiewu przedstawić,—wszechstronnie umotywowane zdanie o artyzmie nowej siły wokalnej wypowiedzi później; dziś to tylko możemy nadmienić, iż talent p. Kruszelnickiej należy do niezwykłych.

A. Dobrowolski

KAZIMIERZ GLIŃSKI.

ARCYDZIEŁO

dramat w pięciu aktach.

(Dalszy ciąg).

AKT IV-ty.

(Pokój w domu Alfa z aktu pierwszego. Aneta siedzi opodal wpatrzona, nieruchomie przed siebie. Justysia wbiega drzwiami z prawej strony, Alf rozpromieniony wchodzi drzwiami z lewej strony, dając Justysi obrazek w ramach).

Alf. Weź jeszcze Justys ten obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej i zawieś nad łóżkiem pana Zygmunta. Ostrożnie tylko, żeby nie popsuć malowidła. (Justysia wychodzi—Alf z pewnym podnieceniem). Tak, Neto moja—niech Muntek wszystko tam znajdzie, jak za dawnych czasów, niech wszystko mu mówi o pamięci starego Alfa. Fortepian pod oknem, na oknie kwiaty, fuksye i gieranium, biurko, przy którym zawsze pracował, fotel, podarty trochę, ale zawsze fotel, dwie świece pod daszkiem zielonym, nawet ten obrazek Matki Boskiej Częstochowskiej powieją ku niemu czarem przeszłości i rozbudzą wspomnienia dawne. A ty wiesz przecie, koteczko, jaka to czasem rzecz marna, niby kluczem czarodziejskim otworzyć może drzwi do tej świątyni. Zapach siana—naprzykład... Trawa zwiędła, nic więcej! A jednak, skoro ten zapach poczuje, rozsuwa się przede mną tajemnicza zasłona wspomnień i rok po roku, dzień po dniu, godzina po godzinie z zapadłą głębi tego morza wypływają na wód powierzchnię i tworzy się znów całość życia. Przeszłość gra nawet więcej tęczowymi barwami, czuje silniejszy ruch serca, zapominam o włosach siwych, o latach sześćdziesięciu... (jakby się budził). No—Muntek ma mniej wspomnień ode mnie, nie borykał się tak z życiem, jak ja. Ochroń go od wielu zawodów i cierpień i to może moja jedyna zasługa przed Panem Bogiem... Neto! dla czego ty nie nie odpowiadasz?

(Wbiega Justysia z obrazkiem).

Alf (do Justysi). A co?... Cóż ty, Justys z obrazkiem powracasz?

Justysia. A gdzie ja powiesić miała, jegomościu?

Alf. Mówiłem tobie, sroko, że na ścianie!

Justysia. Dobrze jegomościowi było powiesić: na ścianie! ale jak na ścianie żadnego gwoźdźnika nie ma, to na czym powiesić.

Alf. Cóż tam tak długo robiła, gdy nie było gwoźdźnika?

Justysia. Lepiła do ściany i lepiała, ale, obrazek cudowny, przyklepić się nie chciał.

Alf. Jaka ona głupia!

Justysia. Jegomość tylo jedno i to samo ciągiem gada: głupia i głupia!

Alf. Bo ty, Justys, doprawdy trochę głupia jesteś!

Justysia. A co ja zrobić miała?

Alf. Zabić ćwiek w ścianę.

Justysia. Adyc to prawda..

(Wybiega).

Alf. Boże mój, jaka ona głupia! (dobywa zegarek i patrzy). Jak nie widać mój Muntek nadejdzie... Teraz, Neto, będziesz mogła na pewno... Neto! czego ty siedzisz taka zamysłona i milcząca, jakbyś nie słyszała, co mówię do ciebie?

Aneta (patrząc w dal). Zrobiłeś, jak chciałeś, Alfie,—pan Zygmunt... zamieszka tutaj.

Alf. Znowu swoje, znowu swoje Neto!...

Aneta. Cieszysz się bardzo...

Alf. Widzisz, jak cały drzę z gorączki oczekiwania.

Aneta. Pan Zygmunt zastąpi ci wszystko... Byle on był przy tobie, tybys nie zatrzymywał Anety, choćby się usunęła w cień, w dal i znikła z przed oczu twoich na zawsze.

Alf. (podchodzi z trwogą). Neto! co ty mówisz?

Aneta. To, co słyszysz—Alfie!

Alf. Nic nie rozumiem—doprawdy, że nic nie rozumiem, Neto!

Aneta. Nie kochasz mnie.

Alf. Ja?! (przypada do jej kolan) ja... ciebie... Neto, ostatnie światło moich oczu, ostatnie technienie mej piersi, czarodziejska pieśni moja... ja—ciebie nie kocham?! (patrzy w jej oczy, powoli wstaje). Ty miałaś sen jakiś niedobry, który twój umysł oplątał dziwactwem przypuszczeń. Czemuż jest cisza tego domu, jasność tych ścian, spokój mego czoła i ten wysniony sen duszy, ta symfonia muzyczna, o której sam Muntek powie.. Zobaczysz, co on powie!... jeżeli nie dziełem miłości?... Kochałem—i stworzyłem, a przecie tak dużo ludzi kochałem przed tobą, Neto, Munka nawet—i... nie! Sama wiesz, że tyś mnie dopiero natchnęła... A teraz—mówisz takie rzeczy, takie niegodziwe rzeczy!...

Aneta. (wstaje szybko). Nie, nie—mój Alfie!.. Wybacz (przygarnia się), ja miałam rzeczywiście niedobry jakiś sen.

Alf. (całując ją w czoło). Widzisz, Neto!

Aneta. A czyż zawsze snom poddawać się musimy? czyż brak nam woli, siły, tej duchowej potęgi, która jest wyższa nad wszystkie marzenia niezdrowe, nad wszystkie... (przysłania się mu do ramienia). O, wybacz—jeżelim ci przykrość zrobiła, ale u baronowej ten bal... Widzisz... ja nie przyzwyczajona jestem do gwaru takiego, wiru, szumu... Rozstroiła mnie noc bezsenna... ale już minęło wszystko... (tuli się). Bądź przy mnie tylko, Alfie!..

Alf. Niepotrzebnie ciebie, koteczko, namówiłem na ten bal u baronowej. Ta atmosfera nie dla nas, powiem ci nawet, że sam widok tego biednego barona drażniąc działa. No, no—ta pani odpowie przed Panem Bogiem za ten grzech ciężki.

Aneta. (jak echo). Odpowie... (oddycha). Aa! jabym tego nigdy nie zrobiła!

Alf. Spodziewam się, kochanko!..

Aneta. Nigdy—Alfie! (uśmiecha się). To nasz dom, cichy, spokojny, święty dom! W tym pokoju zabrzmiały pierwsze akordy arcydzieła twojego, tu się rozbudził duch twój twórco pod siłą mego uścisku, pod czarem moich spojrzeń, pod ciepłem mego pocałunku...

Alf. Tak—tak—tak...

Aneta. Dałam ci szczęście.

Alf. Nieogarniony ogrom szczęścia!

Aneta. I zburzyć je?... (drgnąwszy). Nigdy!

Alf. Ja takie smutne miałem życie, takie smutne! O, gdybys ty wiedziała, co to za męka mieć pierś przepelnioną snami...

Aneta. (jak echo). I nie módz w życie ich wcielić...

Alf. Widzieć ulatujące wciąż marzenia i po-zegnalny głos ich słyszeć: na wieki!

Aneta. (j. w.). Na wieki...

Alf. Nagle wracają wszystkie, na pierś ci się kładą, do serca się wciskają, żywe, potężne, dotykalne... O, Neto moja!

Aneta. (dotykając czoła). O, Alfie, Alfie!

Alf. Jakie ty dziwne echo masz w ustach...

Aneta. (budząc się). Echo?

Alf. (uśmiechając się). Rozmarzyłem ciebie...

Aneta. (biorąc go kurczowo za rękę). Usiądź przy mnie... tutaj, blisko, blisko—będziemy śnić, roić, marzyć?

Alf. Marzyć? (siadają). A kto wie Neto, czy co się jeszcze nie rozbudzi w piersi Alfa pod dotknięciem twej cudotwórczej ręki? Mam teraz słuch tak wyostrzony, że zdaje mi się czasami, iż uchem chwytam tajemniczą harmonję sfer. W powiewie wiatru, w szmerze liści, w spadającej nawet gwiazdzie z błękitów słyszę muzykę

niezrównanej piękności, jakiś hymn uwielbienia, w którym płacze się imię Boga i twoje!

Aneta. Co ty mówisz, Alfie!

Alf. Imię Boga i twoje!

Aneta. (drżąc). O, nie łącz tych dwóch imion, Alfie—to szal!

Alf. Są szaly różne—jedne pochodzą z mąk zadawanych przez koła tortur, inne ze zgryzot sumienia, inne z rozpaczyp o jakiejś stracie wielkiej—ja oszalałem... ze szczęścia!

Aneta. Dwa lata przeżyliśmy z sobą i było nam dobrze, cicho, spokojnie. Żadna myśl smutna nie mąciła nam dni szczęśliwych, ostatni rok skończył się wzniosłą pieśnią twej duszy. Jeżeli to mojem jest dziełem, to przyjm je, jako mały wypląt wdzięczności za długie lata opieki twej nademną, za podźwignięcie mnie...

Alf. Znowu swoje!

Aneta. Nie—ja przypominam tylko...

Alf. Ależ zapomnij o tem wszystkim, Neto!

Aneta. Nie—ja muszę pamiętać, chcę pamiętać,—pamiętając o tem wszystkim lepiej mi jest. Widzisz, jak oddycham spokojnie, jak się uśmiecham do ciebie, jak się nawet godzę z przybyciem pana Zygmunta.

Alf. Wygląda to tak, Neto—jakbys była zadrosną o mnie.

Aneta. Nie jest—żeś rad z tego, Alfie?

Alf. Ale... (śmieje się).

Aneta. Czemu ty się śmiejesz?

Alf. Muntek! Gdyby to była pani Zygmuntowa—ale tak!

Aneta. Nie wiem czybys panią Zygmuntową tak kochał.

Alf. To prawda, Neto! Ale widzisz—ty i on—to zupełnie dwie inne miłości. Miłość do dziecka a miłość do żony, to jak niebo do ziemi niepodobne! Do Zygmunta tęsknić mogę, po tobie płakać; po jego stracie włosy bym rwał może, po tobie—serce by mi pękło... (dzwonek—Aneta zrywa się, Alf wstaje). Co tobie, Neto?

Aneta. (uśmiechając się z przymusem i przykładając dłoń do piersi). A—jak ten dzwonek mnie przestraszył!

Alf. Aż zbladłaś, serdeńko, a to pewnie tylko Muntek przyszedł. Wybacz, koteczko, że muszę na jego powitanie ramiona otworzyć.

(Idzie—wbiega Justysia).

Justysia. Pan Laksander i baron.

(Wybiega).

Aneta. (przyciska rękę do piersi). O, serce—jakże ty głupie jesteś!

(Wchodzi Baron i Aleksander).

Baron. Witam, kochanego maestra—witam!

Alf. Dzień dobry, panie baronie!

Aleksander. (do podchodzącej Anety). Serdeczny uścisk ręki! (Wita się z Alfem). Co słyhać, przyjacielu?

Alf. Wiosna—pieśni—róże... Cóż chcesz?

Baron. (do Anety z dwoma fiołkami). Dwa fiołki, tylko dwa fiołki... Skromnie, ale i pani: dwa fiołki oczu ma tylko, te zaś są dopełnieniem tego pięknego bukietu. Olesz pani powie, jak pracowałem ranek cały, jak pomiędzy murawą szukałem takich właśnie fiołków, bo inne za blade, inne za ciemno patrzyły, a ja koniecznie chciałem znaleźć podobnych do oczu pani—i znalazłem. Stary myśli, że fiołków cztery będzie na niego teraz patrzyło... oho! Nic na polityce się nie zna: Dwa na niego a dwa na mnie—a co?

Aneta. (przyjmując kwiaty). Jaki zapach!

Alf. (podchodząc do drzwi). Justys—kawyl!

Baron. A dasz z arakiem?

Alf. A jakże, a jakże!

Aneta. Niechże łaskawi goście usiąść raczą...

Baron. Ale pani z nami?

Aneta. Oczywiście.

Baron. I koło mnie?

Aneta. Nie inaczej, panie baronie!

Baron. Alfusiu! możesz teraz nie dawać mi araku (siadają wszyscy).

Alf. Jakże się ma pani baronowa?

Baron. (jakby nierozumiał pytania). Baronowa? **Aleksander.** (ciszej do Alfa). Nie wspominaj o niej, jako też i o balu.

Aneta. Pan baron zdaje się odżył po przyjeździe pana Aleksandra.

Baron. Kiedy ja nigdy nie żyłem, pani!

Aneta. Nie rozumiem!

Baron. Bo co to jest życie? Głupstwo!... Ludzie, którzy mówią, że żyją—wypowiadają czezy frazes. Niech mi pani wierzy, że mało tylko żyć umie, okrutnie mało! Ziemia—jest wielką łaką, na której bydłęta się pasą... Gryzą lub gryzą się, udają mądrych a głupie są jak stołowe nogi. Zwaryować można, pastuchem ich zostawszy!

Alf. (śmiejąc się). Ładne masz o ludziach wyobrażenie, panie baronie!

Aneta. Zmień pan zdanie, bo stracisz przyjaźń mego męża...

Baron. A pani?

Aneta. Pogniewam się na pana.

Baron. A ty, Olesiu?

Aleksander. Przychyłam się coraz bardziej do zdania twojego.

Alf. Ty?

Aneta. (prawie jednocześnie z Alfem). Pan?..

Baron. (śmiejąc się). A co—a co—a co?... Przegraliście sprawę, moi państwo, z kretesem przegraliście! Oles i ja—znamy świat, ludzi, wszystkie ziemie, mroki i zaćmienia i wiemy, że jasności słonecznej nigdzie nie ma. Ty, Alfusiu, nie wychylałeś się nigdy za próg swojego domu; wśród gwiazd tysiąca o blasku niepewnym, znalazłeś jedną, świecącą jasno, brylantowo jasno i w nią zapatrzony, w niej rozkochany, myślisz, że wszystkie tak świecą (poważnie). Ale to ty tak myślisz—ale kto wie, czy przesilenie i tego światła nie nastąpi, kto wie czy już w splocie tych promieni czystych nie snują się pasma czarne, nie rwą się nici złote, nie mroczy się coś, nie ćmi, nie przygasa...

Aneta. (szybko). Nie, nie, nie...

Aleksander. Romanie!..

Alf. Za dużo cierpieć musiałeś, panie baronie!

(Dzwonek).

Aneta. (podbiega do ramienia męża). Alfie!

Alf. Znowu się przestraszyłaś, znowu pobladłaś, Neto!..

Aleksander. Zdaje mi się, że dzwonek odezwał się w sieni.

Alf. Nie słyszałem (nasłuchuje). Nie—to wam się wydało... Ja tak dobrze znam głos mego dzwona!

(Wchodzi Justysia z tacą).

Justysia. Kawa i harak... (stawia).

Baron. (bierze jedną z filiżanek). Co to za przepyszna filiżanka!

Justysia. To dla pana barana pani ją dać kazała?

Baron. Barana?

Alf. Idź, głupia sroko!

(Justysia wybiega).

Baron. Czy wiesz, Alfusiu, że ona powiedziała bardzo dobrze.

Aneta. (rozlewając kawę). Pan baron słodką piję?

Baron. Dwa kawaleczki... Dziękuję! (Alf nalewa arak). Co za zapach tego araku! Oho, Alfusiu! Znasz się ty, jak widzę, i na takiej muzyce!

Alf. Zdrowie twoje, panie baronie!

(W drzwiach, nie widziany przez siedzących, staje Zygmunt).

Baron. Ps!... (podnosi kieliszek). Zdrowie pięciu zmysłów, zdrowie wszystkich władz duszy, zdrowie wszystkich baranów jacy są tylko na świecie!

Aneta. Nie—nie—nie!

Aleksander. Takiego toastu nie podnosiliśmy jeszcze nigdy.

Baron. Zabraniasz mi być oryginalnym; a ja ci powiadam, że toast jest wyśmienity, bo wznosząc go, piję za zdrowie największych szczęśliwców, jacy są na tej ziemi. Niepotrzebnie wmieszałem tu tylko władze duszy, pomiędzy którymi jest — jedna... okrutna, straszna, grzebana wciąż i niepogrzebana nigdy, będąca zaprzeczeniem szczęścia, mącąca spokój jednostek i ludów całych...

Aneta. Któraż to, panie baronie?

Baron. Pamięć! (podnosi się powoli, wpatrując się w Zygmunta). Kto-to, ta-ki?

Alf (spojrzawszy). Muntek!... (śpieszy ku niemu—wita i całuje—Aneta zrywa się z siedzenia i ślania się—Aleksander podchodzi szybko do niej, Baron z coraz większym strachem wpatruje się w Zygmunta).

Aleksander (po chwili). Co tobie pani jest—na Boga!... Chwiej się jakby ziemia usuwała się z pod nóg twych!

Aneta (przywołując przytomność). Nic...

Aleksander. Zbierz siły pani—na ciebie patrz.

Aneta. Nie dojrzą nic... (spokojnie) Widzisz pan z jakim uśmiechem na powitanie pana Zygmunta idę (zbliża się).

Zygmunt (skłaniając głowę). Pani!

Aneta (podając rękę). Zgodziłeś się pan nareszcie odwiedzić nas.

Alf. A co mnie to trudu kosztowało!

Baron (z coraz większym przerażeniem patrząc). Kto to... taki?!

Aleksander (cicho). Mówiłem ci już... Konstanty Łaszcz...

Baron (zbierając myśli). Jak on dziwnie podobny do... do...

Zygmunt (podchodząc). Dzień dobry ci, panie baronie! (podaje rękę).

Baron (z krzykiem—odtrącając rękę Zygmunta). Precz!...

Alf. Co?...

(Zygmunt odtrącony stoi z pochylonem czołem, Aneta cofa się i opiera się dłonią lewą o stół, prawą zasłaniając oczy).

Aleksander. Romanie!..

Baron (chwytając go konwulsyjnie za ramię). To on!... Głos, ruchy, twarz, oczy—to on! Słuchaj! przyprowadź go do mnie—dziś... jutro—dopóki pamiętam... Wiesz! iskra jedna... huk—dym... i wszystko skończone!...

Alf. Co tobie jest, panie baronie?

Baron. Rozbudziła się jedna z władz duszy!

Aleksander. Ale się mylisz, powtarzam ci—mylisz się!

Baron (wracając z wolna do stanu bezmyśli). My-lę się?

Aleksander. Obrazileś pana Konstantego Łaszcz...

Alf. Łaszcz?

Aleksander. Milcz, Alfie!

Baron. Pana Konstantego Łaszcz...

Aleksander. Przypomnij—widziałeś go w Wenecji...

Baron. Widziałeś go w Wenecji... Prawda—poznaliśmy się na placu Świętego Marka. A mnie Bóg wie co się uroiło... Co to mi się uroiło Aleksandrze?

Aleksander. Nic.

Baron. Nic mi się nie rojiło...

Aleksander. Chodź ze mną... Właśnie opadł deszcz rześisty i motyle wrywają się ku słońcu.

Baron (ożywiając się). O to, to!... (dzwonek). Pewnie mój doktor... Do widzenia, mój Alfie! (do Zygmunta). Przepraszam pana, panie Konstanty—(do Anety). Przyniosę pani fijołkowego motyla.

(Wchodzi Doktor).

Doktor. Zastaję pana barona?

Baron. Nie przeszkadzaj—motyle się już rozbudziły.

Aleksander (do doktora). Idź z nim, doktorze—szybko, szybko!

Baron (kłaniając się głową). Do widzenia, do widzenia, Alfie, pani Aneto, panie Konstanty! (Wychodzi z doktorem).

Alf. Co to wszystko znaczy, Olesiu?

Aleksander. Coraz częstszy napada go obłąd!.. (do Anety). Przeraziłaś się, pani. Nic dziwnego! Widok barona jest czasem denerwujący. Idź, pani—odetchnij świeżym powietrzem!... Alfie—podaj rękę żonie... Ja sam wzburzony jestem...

Alf. Neto...

Aneta. Tak—wyjść muszę... Orzeźwi mnie świeże powietrze...

Alf. Czy i ja mam iść z tobą, koteczko?...

Aneta (patrzając mu w oczy). Wahasz się w wyborze między mną a panem Zygmuntem...

Alf. Nie, nie, nie—wychodźmy razem... Munku—powrócę za minut parę...

(Wychodzi z Anetą).

Zygmunt (d. s.). Do czartów trzystu! po co w tej chwili drogę mi zaszedł ten baron!

Aleksander. Podziękuj mi pan! Uratowałem pana od napadu furyata (siada).

Zygmunt (z przekąsem). Czuje się wielce obowiązany panu, za wyrządzoną mi przysługę... (siada po drugiej stronie pokoju).

(Chwila milczenia).

Aleksander (rozglądając się). Jak tu cicho, słonecznie, bosko w tym domu starego Alfa. Zdaje się, że z trwogą pył osiada na tych ścianach, że cienie lekko zapadają w załomy kątów, gdzie tylko snuć się powinny przezrocze smugi światła, tulić się myśli białe, odzywać się westchnienia czyste. W tym pyle, w tym cieniu, jest niezrozumiała zagadka ich rozumu, zacność tajemniczego uczucia, chcąc uszanować świętość tych miejsc... A tam? w tym naprzeciw stojącym pałacu barona, w tym ogromie sal o białych, wiotkich, marmurowych kolumnach rozbrzmiewa czasem krzyk obłąkańca, stulone do snu powieki otwiera czarny demon pamięci...

Zygmunt (wstając). Aleksandrze!

Aleksander. Porównaj te dwa domy, przejrzyj myśli tu i tam błędzące, bijące tu i tam serca—i... (wstaje) daj w duszy własnej odpowiedź.

(Wychodzi powoli).

Zygmunt (sam). Odpowiedź?... to znaczy: gdy zbrudzisz ściany tego domu, będziesz marniejszy niż pył ten, lichszy niż cień ten, nędzny, nieszczęśliwy proch! (ogląda się). Ten dom! Tak mi dobrze jest znany, każdy domu tego zakątek!... Tu, stary Alf wprowadził za rękę dziecko znalezione na śmieciach, dał chleb, opiekę, wiedzę i serce swoje... Pamiętam radość jego, gdy pierwszy harmonijny akord z pod drobnych palców dziecka zabrzmiał; w miarę rozwijających się zdolności rosła miłość nauczyciela... synem mnie nazwał, kazał się ojcem nazywać, aż nadszedł dzień, gdy zawołał: chluba moja, moja sława ty będziesz!... Mój pierwszy koncert... oklaski, wieńce, drzał Alf od łez radości... Później—Aneta... i parę smug wielkiego światła; później—rzucony wielki cień na nie—szał krwi—zaćmienie duszy—i... i powrót wspomnień (trze czoło). Piekło!... Nie kochałem nigdy tak, jak dziś ją kocham... I mam jej i swoje szczęście zburzyć dla ścian tych ciszy?... A!—z trwogą pył na nich osiada, cienie lekko zapadają w załomy kątów, gdzie tylko snuć się powinny przezrocze smugi światła, tulić się myśli białe, odzywać westchnienia czyste! Co to? Powtarzam, jak szpak nauczony, wyrazi obce; a własne czyny, myśli, postanowienia gdzie są? (z bólem). Aa! zbudź się siło twórcza, gdy uciekasz ode mnie szczęście... a będę cieniem, pyłem, dotykającym z bojaźnią ścian tych...

(Podczas ostatnich słów Aleksander w drzwiach stanął).

Zygmunt (spozostregłszy go). Ty?! (do przestępującego próg). Chcesz wiedzieć zapewne odpowiedź jaką swej duszy dałem?

Aleksander. Nie... Niech ona pozostanie tylko twoją własnością.

(Wchodzi: Alf i Aneta).

Aleksander (do wchodzących). Wracacie państwo? (bierze Anetę za rękę). Uspokoila się, pani?

Aneta. Uspakajam się coraz więcej... (rozmawia, stając przy oknie).

Alf (idąc do Zygmunta). Przez tego biednego barona, mój Munku—nie mogłem nawet tak, jak trzeba, przywitać się z tobą, ani napatrzeć się na ciebie—mój chłopczel! (tuli go). Teraz musisz mi wynagrodzić długie chwile tęsknoty i oczekiwania. Jaki ja szczęśliwy jestem! Aneta—ty—Aleksander... Co wieczór będziemy razem herbatę pijali, do fortepianu zasiadać, poić się dźwiękami muzyki twojej, Munku!

Zygmunt. Mojej?...

Alf. Oczywiście, że twojej... Neto! Olesiu! chodźcie tutaj...

Aneta (zbliżając się). Nie słyszeliśmy tak dawno gry pańskiej.

Alf. A jak on teraz grać musi!

Zygmunt. Odwykłem—zapomniałem grać zupełnie...

Alf. No, no—nie gadaj ty tylko głupstw takich! Siadajcie, koteczki—tak—w kółko! (siadają—Alf z uśmiechem patrzy na wszystkich). Hm! Aneta—Muntek—Oles!.. razem wszyscy, znów razem... Doprawdy, że oczom moim nie wierzę, zupełnie jak dawniej! tylko—że Aneta jest moją, Muntek wirtuoz skończony, a ty, Olesiu, posiadałeś troszeczkę, u mnie tylko ten sam co i dawniej śnieg na włosach, ale w duszy spokój, w sercu wiosna, a szczęście... Ty Munku nie wyobrażasz nawet sobie, jakie szczęście!

Zygmunt. Dość spojrzeć na ciebie—Alfie!

Alf. Ale ty spochmurniałeś trochę—co tobie jest?

Zygmunt. Co—mnie—jest?

Alf. No tak!

Zygmunt (wstaje). Coś się usunęło z pod nóg... Gdy się zupełnie usunie pożegnaj państwa na zawsze... (przechadza się).

Alf (podnosząc się). Jedziesz?

Zygmunt (stając). Nie zaraz... (staje za fotelem Anety).

Alf. No—i nie prędko! (siada).

Zygmunt. A pani jak myśli?

Aneta. Nie dziwiłabym się, gdybyś pan odjechał... Tu może pan zamało ma pola do pracy.

Zygmunt. A tam, gdzie mam odjechać?

Aneta. Nie wiem...

Zygmunt. Dla czegoż mnie odsyłasz pani do niewiedomego?

Alf. Gadajcie—no tak, żebym ja rozumiał... Siadaj, Muntek... (Zygmunt siada przy Alfie). Ty musisz mieć w swej tece nieporównane piękności!...

Zygmunt. Zupełnie jest próżna...

Alf. Jako? nie nie napisałeś od lat tyłu—nie?

Zygmunt. Nie miałem nad sobą aniola—stróża, nie miałem ducha dobrych natchnień. Cieszę się Alfie, że ty coś, jak słyszałem, stworzyłeś wreszcie; (do Anety) Alf przypisuje to natchnieniu pani, musi więc być coś bardzo pięknego.

Alf (wstając). Sprobuj.. zagraj... usiądź... (Idzie do fortepianu i bierze nuty).

Zygmunt. Nie, nie, nie... Będę jeszcze dość na to miał czasu. Teraz nie jestem w usposobieniu do muzyki, boję się zresztą, żebym nie był za ostrym sędzią twojego utworu.

Aneta. Miała być rzecz piękna.

Zygmunt. Dla czego, pani?

Alf. Pisana pod natchnieniem Anety.

Zygmunt. A prawda—przepraszam! (obraca do Alfa głowę) „Dzieckiem w kolebce kto łeb urwał hydrze, młodzieńcem zdusi centaury!“ ty, zdaje się, w dzieciństwie z hydrami się nie wdarwałeś, w młodości nie spotykałeś centaurów, na starość więc... Wybacz! Ale w Samsonową siłę już nie wierzę...

ZE SZWECYI.

We Wrześniu.

Alf (z trwogą). To znaczy?

Zygmunt. Cha-cha-cha! To znaczy—mamże ci jeszcze tłómaczyć? co to znaczy?

Alf (do podchodzącego Aleksandra). A mówię ci, Olesiu, że to nie może być... nie może być... (drży).

Aleksander. Zawisć!

Alf. Nie, Olesiu—Muntek ma słusność... To było szalbierstwo pragnień, znikome widmo gasnącej duszy, sen... starca... (opuszcza nuty).

Aneta (wstając, do Zygmunta). Zasmuciłeś pan Alfa.

Zygmunt. Jam więcej miał praw do złudzeń...

Aneta. Wznies się ponad ból własny.

Zygmunt (zbliżając się). Szaleję, kocham, przepadam!...

Aneta (podniesionym głosem, cofając się). Panie Aleksandrze!

Aleksander (podchodząc szybko). Co za okrzyk trwożny z ust pani wyleciał.

Aneta (zmieszana). Alf pobladł... drży...

Aleksander. Widocznie bladość i drżenie Alfa twojej, pani, udzieliły się postaci...

(Podchodzą do Alfa).

Alf (chwiejąc się). Jak mi się w głowie zmieszalo!

Aleksander. Wyjdź do ogrodu Alfie!... (do Anety, podając jej rękę), służę pani.

(Wychodzą).

Zygmunt (sam, patrząc za Alfem). Jeżeli ją masz—sławę mnie zostaw... Dwie perły takie za dużo mieć naraz!... Jak on jednak zbladł... jak on jednak uwierzył mnie!—Zachciało się staremu wróblowi w orle pióra się odziać, popiołem rozpalić się pod technieniem ognia, strupieszalemu sercu omdlewać w uściskach miłości... Cha-cha-cha!... (Podchodzi i podejmuje z ziemi nuty. Otwiera, szybko śledzi oczyma, coraz gorączkowiej kartę za kartą przerzuca, podbiega do fortepianu, stawia nuty na pulpicie, siada, uderza w klawisze, gra chwilę, nagle zrywa się od fortepianu). Dość!... to arcydzieło! (bierze nuty). Wyśnił mu się sen lat czterdziestu, sen ogromny, potężny, na jaki się wieki długie składają. Marzenia młodych lat, żar uczuć, wybuchy młodości—wszystko co czuł, kochał, śnił—tu przelał! Pokolenia pokoleniom będą podawały imię Alfa; dopóki w piersiach ludzkich bić serca będą, brzmieć będzie ta pieśń mistrzowska!... (cisza nuty o ziemię). Ha! ten szkielec, dopytujący się już grobu, miłość, szczęście i sławę posiadł... a ja—z duszą wyziębłą, z młodością zamierającą usunę się w mrok, ciszę, nicosć? (grzmiąco). Niel!... Czuję w duszy zawisć Piekła i ogniem tego Piekła wołam: nie!—Drżysz, Alfie—drżysz! Do wyżyn dojść nie mogąc, na których ty stanąłeś, pograżę się w otchłań, jakiej ty niedosięszes... Ja, dziecię znalezione u płotu, podjęte przez ciebie, wykarmione i wychowane, ulubienie twoje, ducha twojego syn najmilszy zamączę spokój tych ścian, w duszę twą piekło cisnę, wydrę ci miłość jej, szczęście zburzę i stworzę arcydzieło—zbrodnił!... Walcz teraz ze mną, walcz potęgą swej pieśni z arcydziełem przez krew, żądę i szal zmysłów stworzonem!...

(Wychodzi—wchodzi Alf).

Alf (blady). Jezu! On grać przestał... cisnął nuty o ziemię, takie to liche było, głupie było... (chwytając się za czoło). O nędzo, nędzo, nędzo!

(Pada z jękiem na sofę).

(Koniec aktu czwartego).

(Dokończenie nastąpi).

czuwa się tam wpływ owych długich północnych nocy. Wpływ ten równoważy nieco ożywczy powiew od morza, który ludziom tamtejszym przynosi zapas sił i zdrowia.

Z Lulei do Gellivara, jak wspominałem, jest siedm godzin drogi. Eksploatacja tych olbrzymich kopalń na tak obszernej skale, jak dzisiaj, datuje dopiero od lat piętnastu. O tem, że zawierają one bogatą rudę żelazną, wiadano już dawno, brakło jednak kapitalistom miejscowym odwagi do rozwinięcia tak znacznego przedsiębiorstwa i dopiero angielskie towarzystwo, wzięwszy część kopalń w rękę, otworzyło Szwedom oczy. Rezultaty osiągnięte przez Anglików wzbudziły zazdrość, rząd nawet chciał kapitalistom miejscowym dopomóc i znaleźć sposób odebrania z obcych rąk posiadanych kopalń. Sposobu jednak na to nie było i nie pozostawiało nic innego, nad utworzenie poważnej konkurencji. Aby dać dobry przykład i zachęcić najmniejszych w kraju kapitalistów, król Oskar sam przyjął udział w przedsiębiorstwie i jak prawdziwy gentleman na tronie, kapitał zamieniony na akcje odstąpił akcyonaryuszom po cenie emisyjnej. Produkcja kopalń Gellivara wynosi rocznie przeszło milion tonn (tonna=1000 kilo). Akcyonaryusze otrzymują 40 proc. dywidendy. Ruda z kopalni Gellivara zawiera 80 proc. żelaza czystego i jak już mówiłem, jest najlepszą rudą żelazną na świecie. Przeważnie przerabiają ją na stal, wysyłaną jest na cały świat, większość wszakże pozostaje na Szlązku, nad Renem i w Anglii. Główna żegluga towarowa trwa przez siedm miesięcy w roku, lecz w kierunku zachodnim ku portom Antwerpii i Amsterdamu wysyłki kolejami przez rok cały są w ruchu. Na zwiększenie dywidendy tego przedsiębiorstwa wpłynęło także przekopanie kanału w porcie, co umożliwia obecnie ładowanie bezpośrednio na okręty. Dawniej tylko mniejsze statki o 14-stopowem zagłębieniu wchodziły do portu, dziś okręty na 25—28 stóp zagłębione w wodzie, przez nowy kanał przepływają z łatwością. Przyrządy do ładowania poruszane są elektrycznością i ładunek okrętu, obejmujący do 3000 tonn, dopełnia się w ciągu 4—8 godzin. Kopalnie Gellivara zatrudniają 8000 robotników, którzy mieszkają w małych drewnianych domkach wokoło kopalni rozróżnionych; place pod budowę otrzymują od rządu bezpłatnie, lecz z warunkiem, iż w razie potrzeby na każde ze strony władzy wezwanie ztamtąd się wyniosą.

Badania czynione w tamtejszych kopalniach, celem obliczenia ich wydajności, wykazały, iż przy niezmiennym jak dotąd produkcyi, materiału surowego wystarczy jeszcze z górą na 500 lat.

Noc zapadała nad Luleą, kiedyśmy z Gellivara wracali. Zanim nadeszła północ, na niebie od zachodu ukazała się długa, złocista smuga. W Lulei, jako w miejscowości wysoko na północ i na wschód wysuniętej, a nad morzem położonej, ciekawem zjawiskiem jest zorza północna, która stanowi niejako dziwne przedłużenie dnia. Pojawia się ona wkrótce po zachodzie słońca, rozprasza zmierzch wieczorny i trwa aż do wschodu słońca.

W czasie pobytu w Lulei zmieniłem zamiar i zamiast jak to było z towarzyszymi moimi ułożone, powracać po dwudniowej wycieczce, zawadziłem jeszcze o Stockholm, gdzie mnie tym razem przyciągnęły miejscowe teatry, których dotychczas nie miałem sposobności poznać, gdyż zwykle w Szwecyi bywałem podczas lata, teatry zaś tamtejsze od Czerwca do Września bywają zamknięte. Do tej chwili cztery sceny rozpoczęły już swój sezon. Teatr Waza (operetka), ludowy (melodramat i possa), teatr Södra (komedya) i Szwedzki. Ostatni, który od lat siedmiu daje tymczasowy przytułek Królewskiej operze, przez obecnego właściciela i dyrektora został z wielkim nakładem odnowiony i upiększony.

W królewskim teatrze dramatycznym rozpoczęły się już próby, lecz nie zostanie jeszcze tak prędko otwarty, ponieważ roboty około zabezpieczenia go od pożaru, nie pozwolą na rozpoczęcie widowisk przed upływem miesiąca. Zapo-

Czy znacie wy miasto Lulea, leżące na północ Szwecyi nad zatoką Botnicką i będące głównym miastem w prowincyi Narbotten? Czy wiecie czem owo miasto jest dla tego, w tak wysokiej pozostającego kulturze kraju? Ludzie podróżujący jedynie dla przyjemności, nie zważają wprawdzie o ten zakątek Skandynawskiego półwyspu, pasażerskie zaś pociągi i parowce tylko w niewielkiej liczbie kursują w tę stronę, ale za to ruch towarowy jest olbrzymi. Lulea—to Klondyke Szwecyi. Kopalnie żelaza „Gellivara,” znajdujące się o siedm godzin drogi od Lulei, stały się dla Szwecyi prawdziwymi kopalniami złota. Od piętnastu lat wydobywają ztamtąd najlepszą rudę żelazną, jaka istnieje na świecie.

Korzystając z uprzejmości kapitana szonera o 2000 ton „Borussia,” odpływającego ze Swinemünde, a słyszawszy przedtem cuda o kopalniach Gellivara, zabrałem się na pokład i wyjechawszy z wieczora lekkim, bo pustym statkiem, dopływaliśmy na drugi dzień w południe do Lulei.

Słońce świeciło jasno na nową część miasteczka, zasianą drobnymi domkami. Stara część została przez pożar zniszczona, nowa za to ciągle się zabudowywa, grunta, które przed paroma laty nie przedstawiały wartości tysiąca koron, dziś cenione są dziesięć razy tyle. Wazkie pobrzeże zmusza do stawiania domów aż nad samą wodą. Ludzie, jakich na pobrzeżu spotykałem, byli po większej części prawdziwymi typami północy, o jasnych włosach, białych twarzach, ruchach powolnych i łagodnym uśmiechu. Na poczcie, w biurze telegraficznem i w wielu innych instytucjach, zajęcia po większej części oddane są w ręce kobiet. Nigdzie nie rozumieją ani słowa inaczej, jak tylko po szwedzku, nawet w tutejszych hotelach nie usłyszysz innego wyrazu. Widocznie inwazyja cudzoziemców w tych stronach jest zbyt świeża, zaledwie w oknie księgarza można się spotkać z tytułami dzieł we francuzkim lub niemieckim języku. Wszędzie człowiek czuje się obcym, tem więcej, że w jednym hotelu znaleźliśmy miejsce, ale nie było restauracyi, w drugim przyjęto nas za stołowników, ale numeru nie mogliśmy wolnego znaleźć. Tam więc, z biedy zasiadliśmy wkrótce zastawiono nam stół obficie zimnem mięsiwem z dodatkiem niezbędnym szwedzkiego kawioru.

Usługę stanowią tu smagłe, jasnowłose dziewczęta w słomianych kapelusikach, jednakowo poubierane, każda z serwetką w rękę. Krzątają się one tak poważnie, cicho i zręcznie, że na każdym cudzoziemcu nader przyjemne sprawiają wrażenie. Za napój w północnej Szwecyi używane jest ogólnie piwo. W lepszych restauracyach podają je w butelkach, wino z powodu transportu i zimna dochodzi do cen wysokich. Pomiędzy gośćmi zauważyliśmy bardzo małą ilość kobiet. Tu po raz pierwszy spostrzegłem pewien, dla nas nieco dziwny, oryginalny zwyczaj, który od dawien dawna przyjęty jest w Szwecyi, t. j. zwyczaj noszenia przez kobiety podwójnych i potrójnych obrączek. Obrączka jedna oznacza, iż właścicielka teje jest matką.

Po obiedzie zrobiliśmy wycieczkę powozem. Z drugiej strony pól już żętych i łąk, na których skoszone siano rozrzucone było do wysuszenia. U stóp wznoszących się pod górę sosnowych lasów, poprzecinanych grupami białych brzoź, poniżej których osiadły gromady domków, rozlewa się szeroko Lulea Elf. Daleko spławna ta rzeka tworzy kilka wodospadów, z których jeden pod Storbakken jest bardzo malowniczy. Po większej części jednak okolice w tamtych stronach nie są piękne, przeważnie błotniste, tak, że w wielu miejscach przez łąki kładą pnie dla umożliwienia przejścia.

Tak samo jak na błądych, poważnych i milczących ludziach, tak i na smętnej naturze od-

wiedziane są różne nowości szwedzkich znakomitych autorów.

Dnia 19 Września otworzoną była na jeden wieczór nowa opera, a to w skutek żądania króla Oskara, którego rocznica wstąpienia na tron wypada w ten dzień właśnie. Względy techniczne nie pozwoliły na wystawienie jednego z dzieł, które okolicznościowo byłoby nader stosownem, jak np. opera Halle'na „Skarb króla Waldemara,“ albo Stenhamera „Tirsing.“ Trzeba było zadowolnić się specjalnie na ten dzień napisaną kantatą profesora Ivara Hallströma i kilkoma wyjątkami z dawnych oper, dobytymi z kurzu biblioteki teatralnej.

Półtuzina teatrów, jakie znajdują się w Stockholmie, z wysiłkiem konkurują dzisiaj z café-chantants. Kiedy przed kilkoma laty upodobanie do lekkiej muzyki wzrosło ogromnie, władze miejscowe, bacząc na interesy stałych teatrów, chciały niebezpieczną konkurencyę usunąć i rzeczywiście w części dopięły celu, zabraniając w teatrzykach sprzedaży jadła i spirytusowych napojów.

Publiczność szwedzka najtłumniej zgromadza się na koncertach; znana w Warszawie orkiestra Maydera cieszyła się w Stockholmie wielkiem powodzeniem. Szwedzi w ogóle są prawdziwie muzycy, przyzwyczajeni do słuchania dobrych i poważnych koncertów, w samej stolicy mają dwanaście sal koncertowych i pomimo, iż rodzinne i towarzyskie życie jest u nich nadzwyczaj rozwinięte, słuchaczy na koncertach nigdy nie brakuje. Obok muzyki klasycznej, jak również nowych dzieł z ogólnej europejskiej muzycznej literatury, Szwedzi najchętniej uprawiają muzykę własną, a posiadając sami znakomitych kompozytorów, dość nazwać Svendsena i Griega, mogą istotnie rozkoszować się melodiami o swojskim charakterze, snutemi na tle mistrzowskiej orkiestracyi.

Nie zadowolniejszy w całej pełni ciekawości mej pod względem zapoznania się z teatrami w Stokholmie, odpłynąłem z powrotem, dzień jeden poświęcając jeszcze na zwiedzenie Wisby. Wisby, jest to główne miasto Gotlandyi, największej z wysp szwedzkich na Bałtyku. Z powodu nadzwyczaj korzystnego położenia wyspy na samym środku morza, nadano jej nazwę „oko Bałtyku.“ Znana już w dawnych wiekach, w XI i XIII miała okres wielkiej świetności, dowodem czego są zabytki bogatych kościołów, na które zazwyczaj oprócz wiary, składają się dobrobyt i estetyczne poczucie.

Cały handel, żegluga i ruch pieniężny koncentrowały się w Wisby, głównym rynku potężnej Hanzeatyckiej ligi. Niestety, owa świetność właśnie była zgubą miasta. Król duński Waldemar, zwany Atterday, (inny dzień), zwabiony bogactwami na wyspie, wybrał się tam w celu grabieży w 1361 r. i odtąd wyspa stała się przedmiotem ciągłego sporu pomiędzy Danią i Szwecyą, aż wreszcie dumna Hanzea, przedewszystkiem zaś Lubeka, zazdrosna o posiadanie tego klucza żeglugi na Bałtyku, sama ograbiła i zniszczyła Wisby, przyczem nawet bogate kościoły i klasztory poszły w ruinę. Z szesnastu kościołów pozostał nienaruszony jeden tylko kościół Panny Maryi. Ruiny wspaniałych świątyń czynią dziś Wisby najciekawszem miastem na północy.

Widok Wisby od strony morza jest nieporównanie piękny. Średniowieczna warownia, zbrojna w forty i mury, otoczona jest fosami i zdobna lasem wieżyc, które zdają się z morza wylaniać. Potężny mur, ciągnący się nad samym brzegiem wody, datujący od sześciu wieków, nie ma sobie w Europie równego. Po za owym murem piętrzą się ciemne masy drzew liściastych, pomiędzy którymi wznoszą domy, zdradzające smukłemi,

zębatemi dachami swoje hanzeatyckie pochodzenie. Gęsto usiane ruiny kościołów: św. Mikołaja, Klemensa, św. Doroty, św. Larsa i św. Katarzyny, rzekłbyś, tuła się do podnóża farnego kościoła Panny Maryi, stojącego jakby na podmurowaniu ze skał i dominującego od wschodniej strony ponad całym miastem.

Kościół św. Olafa poświęcony był czci poległego w walce z poganami norweskimi króla Olafa, zaliczonego w poczet świętych. Kiedy kościół ów został zbudowany, stanowczo orzec niepodobna, prawdopodobnie na początku XII wieku. Zburzono go, jak wspominałem, podczas najeżdzu wojsk hanzeatyckich w roku 1525. Czas nieubłagany przyczynił się jeszcze do ostatecznego zniszczenia tego arcydzieła średniowiecznej architektury.

Szwecya odrębne zawsze sprawia na mnie wrażenie; nie tylko zewnętrzne typy ludzi noszą tam na sobie cechę powagi i spokoju, lecz i sposób ich życia, interesy, prace, dalekie są od ogólnej gorączkowości, jaką się dziś niemal wszędzie spotyka.

Racjonalna, systematyczna praca, uczciwość i ogólna wysoka kultura Szwedów, wzbudzić muszą, przy bliższem poznaniu, szacunek i sympatyę. W Szwecyi niejako odpocząć można po wyczerpującym „struggle for life,“ ogarniającym dziś z bezwzględnością całą cywilizowaną światem.

Zetes.

Kronika działalności kobiecej.

— Róża Luxemburg, znana autorka artykułów o rozwoju ekonomicznym w Polsce, i o kwestyi wschodniej, uzyskała na uniwersytecie w Zurychu, na wydziale nauk państwowych, stopień doktora tejże wiedzy.

— W Holandyi powołano urzędownie kobietę do uczestniczenia w lekarskiej komisji egzaminacyjnej. Jest nią doktor Katarzyna Farsenbroek. Niewiele zatem mają ogólnościowej powagi pamiętne złośliwe wycieczki doktorów na zjeździe lekarskim niemieckim tej wiosny, gdzie tak bez ogródki orzeczono, że kobieta lekarka nie stanie na wyżynie istotnej nauki i jeszcze stan lekarski obniży! Wszelka prawdziwa wartość opiera się na faktach niezaprzeczonych, a nie na efektownych przemówieniach i zapalczywych rozprawach.

— Inspektorką szkolną w Filadelfii została mianowaną panna d-r medycyny Bella Grimmel. Zadaniem jej będzie doglądanie przedewszystkiem warunków i potrzeb higienicznych w szkołach, tak aby ucząca się młodzież używała wszystkiego, co do najstaranniejszej zdrowotności w zakładach naukowych jest potrzebne.

— W Stanach Zjednoczonych zaprowadzoną zostanie niebawem po większych miastach służba żeńska przy obsłudze tramwajów. Zdaje mi się, że ten rodzaj zajęcia nie jest dla kobiet praktyczny. Samo ubranie kobiece utrudniać będzie prędkie i zręczne przesuwanie się między ścisłymi jadącymi i opóźniając przez to szybkość usługi, wywoła niesnaski i skargi. Po co rzucać się — do wszystkiego?

— W czasie wojny hiszpańsko-amerykańskiej na Kubie pełniła obowiązki urzędnika do poleceń wojennych pani Klara Colby, wydawczyni pisma dla kobiet, żona jednego z amerykańskich generałów.

— Miss Clara Barten, znakomita kierowniczka „Czerwonego Krzyża“ w Stanach Zjednoczonych w Ameryce zajmuje się obecnie gorąco sprawą niewieścią i popierać zamierza prawo wyborcze dla kobiet.

— Młode artystki siostry Gissler, Maryanna, wirtuozka na skrzypcach, i Klara grająca wybornie na harfie, wykonywały szereg utworów w Spaa u królowej Belgijskiej, u której bawiła też wówczas arcyksiężna wdowa Stefania. Obie dostojne panie unosiły się w pochwałach dla zajmujących się siostr, ciesząc się, że takie artystki są Belgijkami. Panny Gissler znane już są w świecie muzycznym i w Anglii, a królowa Wiktorya, która je bardzo ceni, przesłała im swoją fotografię z własnoręcznym podpisem.

— W Nowym Yorku panna Watkins, bardzo zdolna malarka, chcąc przyjść z pomocą młodym siłom artystycznym, urządziła w swojej pięknej pracowni stałą wystawę dzieł młodych lub biednych artystów, i gorąco się zajmuje rozprzedaniem tych prac i poparciem talentów, które z trudnościami walczą i często wśród nich giną. To też ogólne uznanie i wdzięczność jest słuszną nagrodą tej koleżeńskiej uczynności.

— Ze spadku po zmarłej d. 12 Września 1876 r. s-p. Józefie Siarakowskiej, przeznaczoną została przez jej spadkobierców, aktem urzędowym, w dniu 19 Lutego (2 Marca) 1888 r. zeznanym, na własność Kasy pomocy naukowej imienia Józefa Mianowskiego suma 6,600 rubli, jako fundusz żelazny, od którego procenty obracane być mają na zapomogę, stosownie do celów Kasy, dla synów podupadłych lub zubożałych właścicieli ziemskich, wyznaniarzymsko-katolickiego z gubernii Płockiej, a w ich braku dla innych osób, wedle uznania zarządu Kasy.

W myśl powyższego przeznaczenia funduszu, zatwierdzonego przez rząd, Komitet zarządzający Kasą wzywa osoby pracujące na polu naukowym, a chcące ubiegać się o zapomogę, aby w ciągu trzech miesięcy od daty niniejszego ogłoszenia, złożyły w biurze Komitetu (Niecała nr. 7) lub do rąk jednego z członków Komitetu stosowne podanie, z wyszczególnieniem podjętych prac naukowych i miejsca stałego zamieszkania. Kandydaci, roszczący prawo do pierwszeństwa w otrzymaniu zapomogi, winni dołączyć do podania akt urodzenia i wiarogodne zaświadczenie, że pochodzą od podupadłych lub zubożałych właścicieli majątków ziemskich w gub. Płockiej. W końcu nadmieniam się, że stosownie do § 2 Ustawy Kasy, zapomogi mogą otrzymać tylko poddani rosyjscy, o ile nie przebywają za granicą bez pozwolenia rządu i że wedle zastrzeżenia przez władzę postanowionego, zapomoga przyznana kandydatowi, kształcącemu się w jakim bądź zakładzie naukowym Okręgu naukowego warszawskiego, będzie wypłacona dopiero po zatwierdzeniu wyboru przez kuratora tegoż okręgu.

Do dzisiejszego numeru „Bluszczu“ dołącza się: ark. 20-ty powieści, p. t. *Spadkobiercy*, przez autorkę „Za cudze winy.“ Przekład Z. S.

Latawiec, nowella, przez H. Castelnuovo.

Treść: Za progiem rajy. Cykl piosnek, przez Szczęsną.—Pamiętniki Adaminy z Bielskich Moszczeńskiej, przez J. Moszczeńską (dalszy ciąg).—Ruch muzyczny, przez A. Dobrowolskiego.—Kazimierz Gliński. Arcydział, dramat w pięciu aktach (dalszy ciąg).—Ze Szwecyi, przez Zetes.—Kronika działalności kobiecej.

Dodatek obejmuje: *Spadkobiercy*, powieść, przez autorkę „Za cudze winy,“ arkuś 20-ty. Przekład Z. S. i *Latawiec*, nowella przez H. Castelnuovo.—Przeгляд mód. 23 wzorów i robót z opisem.—Sekreta gospodarskie.—Dyspozycye obiadu.